

O KULTURZE W PRL

**Z JERZYM EISLEREM I RYSZARDEM TERLECKIM
ROZMAWIA BARBARA POLAK**

B.P. – W 1944 r. nowa władza miała na głowie ważniejsze rzeczy niż kultura narodowa. A jednak była w tej szczególnej sytuacji, że musiała o nią dbać, choćby nawet tylko dla celów propagandowych. Przy tym musiała się jakoś odnieść do kultury przedwojennej, poszukiwać ciągłości ze spuścizną narodową. Kultura jest taką specjalną dziedziną życia narodu, która, podobnie jak wiara, jest gwarancją przejścia przez najgorsze nawet doświadczenia.

J.E. – Zacząć trzeba od tego, że punkt startu był bardzo niski. Wprawdzie w czasie okupacji niemieckiej toczyło się podziemne życie kulturalne, ale było ono tajne, jak wszystkie inne działania Polskiego Państwa Podziemnego, i z natury rzeczy ograniczone do stosunkowo wąskiego kręgu ludzi. Dlatego w Polsce lubelskiej wystarczyło puścić muzykę Chopina w Polskim Radiu, żeby było to odbierane jako coś niezwykłego. Nawiasem mówiąc, radia można było legalnie słuchać w praktyce tylko z ulicznych gigantofonów (posiadanie radioodbiorników bez specjalnych zezwoleń do czerwca 1945 r. było zabronione i zagrożone karą śmierci). Podobnie było z odbudowywanym powoli teatrem, kinem czy stopniowo rodzącym się życiem literackim. Niezależnie od rzeczywistego poziomu artystycznego wszystko było wspaniałe lub co najmniej poruszające, bo po prostu było polskie, nasze, rodzime. Możliwy stawał się kontakt z największymi dziełami kultury narodowej po ponad pięciu okupacyjnych latach. Dzisiaj nikomu nie przychodzi do głowy, że wydawanie dzieł Adama Mickiewicza czy Henryka Sienkiewicza mogłoby być działalnością propagandową, ale w latach czterdziestych i jeszcze nawet na początku pięćdziesiątych tak właśnie było. W ten sposób władza przekonywała społeczeństwo: – „my też jesteśmy dobrymi Polakami, takimi samymi jak wy, uznajemy taki sam kanon lektur”. A jednak nie był on zupełnie taki sam, nawet jeśli byli to ci sami autorzy; ich twórczości nie prezentowano w całości.

Poza tym, po wojnie na przykład granie *Mazurka Dąbrowskiego* czy wywieszenie biało-czerwonej flagi było symbolem działań patriotycznych, ale też kulturowych – jesteśmy w Polsce, jesteśmy Polakami, mamy własne narodowe korzenie. Trzeba także pamiętać, że tuż po wojnie środowiska artystyczne czekały na możliwość normalnego funkcjonowania. Czas płynął bowiem nieubłaganie; okupacja spowodowała, że bezpowrotnie zmarnowanych zostało prawie sześć lat. Co to znaczyło w praktyce? Aktorzy, którzy chcieli pozostać wierni Polsce, przez kilka lat okupacji nie mieli gdzie występować, a ci, którzy zdecydowali się „grać dla Niemców”, po wojnie mieli z tego tytułu kłopoty. Panował więc zupełnie



naturalny wielki głód występów, wystawiania, prezentowania. Nie chciałbym nikogo obrazić, ale tuż po wojnie nie trzeba było tworzyć wielkich kreacji, by zbierać entuzjastyczne recenzje i wielkie oklaski. W praktyce każdy pokazywany film był wydarzeniem, ponieważ przywoici Polacy w czasie okupacji nie chodzili do kina. Myślę, że od tej strony organizatorzy powojennego życia kulturalnego mieli ułatwioną sytuację. Poważnym utrudnieniem były natomiast powojenne warunki ekonomiczne: brakowało sal kinowych, teatralnych, sprzętu oświetleniowego i nagłaśniającego, materiałów poligraficznych, papieru – praktycznie wszystkiego. Porównałbym to do sytuacji z końca lat siedemdziesiątych, gdy pojawiły się książki drugiego obiegu. Często były one ledwie czytelne, ale sam fakt ich wydania był tak ważnym wydarzeniem, że ludzie „katowali się” drukiem i spędzali nad nimi noce, żeby móc je pożyczyć dalej. Jak jest bardzo źle, to wystarczy, żeby było odrobinę lepiej, żeby już były zachwyty. Taki był początek kultury w Polsce Ludowej.

B.P. – Warto powiedzieć i o tym, że państwo, które starało się być normalne, musiało dopuścić działania tworzące kulturę. Aby omiąć spontaniczność w tej dziedzinie, władze komunistyczne zaczęły realizować tak zwaną politykę kulturalną, co samo w sobie stanowi zaprzeczenie twórczości.

R.T. – W pierwszych powojennych latach władza rzeczywiście nie miała głowy do kultury, miała inne zmartwienia. Poza tym, ze względów czysto politycznych, musiała odnieść się do szoku, jaki przeżyła znaczna część społeczeństwa po wejściu Sowieców, szczególnie na zabranej Polsce połowie jej wcześniejszego terytorium. Wieści o palonych bibliotekach, niszczonej dworach, rabowanych zbiorach itd., docierające stamtąd, ale także z terenów tak zwanej Polski lubelskiej, były straszne. Trzeba było jakoś przekonać społeczeństwo, że to tylko wojenny zamęt, że przeminął bezpowrotnie, a teraz kultura znajdzie się pod troskliwą opieką państwa.

Ponadto przesunęły się granice Polski. Tym sposobem przepadła ogromna część spuścizny narodowej, w tym wielkie centra kulturalne – Lwów i Wilno, a wraz z nimi część historii, której – wydawało się – nie sposób zapomnieć ani oderwać od narodu. A z drugiej strony trzeba było rywalizować z kulturą zastaną na ziemiach zachodnich, trzeba było się z nią zmierzyć. Osadnicy, którzy tam przyjeżdżali, napotykali nie tylko wyższy standard życia, ale także zupełnie inną architekturę, sztukę sakralną czy użytkową.

B.P. – Można to nazwać szokiem cywilizacyjnym.

R.T. — To był jeden z najtrudniejszych zakrętów naszej historii. Z jednej strony coś stracono, jeszcze wtedy łudzono się, że nie bezpowrotnie, a z dru-

giej strony coś zyskano, ale obcego, nieoswojonego i jakby troszkę lepszego, szczególnie pod względem kultury materialnej. Kolonizowanie tych terenów było trudnym zadaniem.

B.P. – Mówi pan o trudzie obiektywnym czy propagandowym?

R.T. – On był i obiektywny, i także trochę narzucony. Władza natychmiast zaczęła zachęcać uczonych, ale nie tylko ich, również twórców kultury, żeby tę zdobycz historycznie i moralnie uzasadnić, a stratę pomóc zapomnieć.

B.P. – Kogo personalnie, w kręgach ówczesnej władzy, stać było na głębszą refleksję nad rolą i miejscem kultury?

J.E. – Na pewno Jerzego Borejszę. Był on nie tylko szefem „Czytelnika” i menedżerem, ale także człowiekiem, który uważał, że twórców, pisarzy, artystów warto „dopieścić”, że trzeba „zalecać się” do nich, poświęcić im więcej uwagi. Zdarzało mu się nawet jeździć za granicę i namawiać pisarzy do powrotu, a także (i to wcale nierzadko!) prowadzić z pisarzami w Polsce finałową grę. Nie straszył, nie groził – od tego byli inni – ale cierpliwie przekonywał: „Nie musi pan iść z nami czy za nami – mówić – proszę tylko, żeby pan pisał, a my będziemy to wydawać”. Im głośniejsze było nazwisko twórcy, tym obiecywał mu większy zakres swobody. To, co było wykluczone dla młodego, debiutującego literata, było dopuszczalne dla Jarosława Iwaszkiewicza, Marii Dąbrowskiej, Zofii Nałkowskiej czy Juliana Tuwima. Takie nazwiska na swój sposób ozdabiały i nobilitowały tę nową władzę, czyniąc ją jeszcze bardziej polską. Dawało to do ręki argumenty i pozwalało mówić o ciągłości polskiej kultury.

Jeżeli wydawano pisarzy przedwojennych (oczywiście tylko niektórych!), to oznaczało to, że przez te lata nic się właściwie nie zmieniło albo zmieniło się bardzo niewiele, i to na pewno na lepsze.

Człowiekiem, którego w obozie władzy stać było na głębszą refleksję i „specjalne” podejście do twórców, był też z pewnością wywodzący się ze środowiska przedwojennych komunistów Karol Kuryluk – późniejszy minister kultury i sztuki oraz ambasador w Austrii w latach sześćdziesiątych.

Pamiętajmy, że część osób odpowiedzialnych wtedy za kulturę miała za sobą studia uniwersyteckie. Byli to ludzie wykształceni, ocytani, znający obce języki i dobrze czujący się w świecie nauki, kultury i sztuki. Często patrzymy na komunistów przez pryzmat prymitywnego aparatury, owego przystawionego towarzysza Szmaciaka. Oczywiście tacy też byli, a nawet dominowali. Ale obok nich znaleźli się inni, którzy nie byli od bicia, straszenia czy wygłaszania prymitywnych przemówień pseudoideologicznych, tylko od „kuszenia” uczonych, artystów, pisarzy, niektórych, zwłaszcza starszych dziennikarzy. Tadeusz Konwicki opowiadał, jak to Borejsza wystąpił go do Warszawy. Młodego, będącego na początku



drogi literackiej, dwudziestoletniego pisarza ulokowano między dyplomatami w hotelu Bristol i obwieziono po mieście wielką, luksusową limuzyną Borejszy. Wtedy już inwestowano w młodych. Pojawia się pytanie, na które nie można chyba udzielić jednoznacznej odpowiedzi: jak dalece ludzie w rodzaju Borejszy, Kuryluka i jeszcze kilku innych – byli w swoim działaniu niezależni? Przecież władza miała na głowie w tym pierwszym okresie naprawdę ważniejsze problemy: chociażby pełne partyzantów lasy, nieuregulowaną kwestię granic, Polskie Stronnictwo Ludowe, zagospodarowywanie ziem zachodnich i północnych itd. W tej sytuacji twórcom można było zostawić większą swobodę działania.

Z czasem – myślę, że ten proces zaczął się w 1947 r. i nasilił się w roku następnym – ten margines wolności władze zaczęły systematycznie ograniczać. Nie wystarczyło już nie być „przeciw”, trzeba było się opowiadać „za”, choć jeszcze we wrześniu 1946 r. na zjeździe w Łodzi literaci bronili prawa do wyboru metody twórczej i przeciwstawiali się zaostżaniu cenzury. Należy dodać, że podobne procesy – prędszej czy później – można było zauważyć w praktyce we wszystkich rodzajach twórczości artystycznej. W takim klimacie w sierpniu 1948 r. zorganizowano we Wrocławiu Światowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju – imprezę propagandową w prawdziwie sowieckim stylu. Z kolei w początku 1949 r. odbył się w Szczecinie zjazd pisarzy, w czasie którego oficjalnie proklamowano socrealizm w literaturze. Zaczynała się era brutalnie narzuconego twórcom realizmu socjalistycznego i zarazem definitywnie skończył się czas eksperymentowania...

Z naszego pola widzenia nie może jednak zniknąć jeszcze jedna kwestia: zakrojona na bardzo szeroką skalę akcja likwidacji w Polsce analfabetyzmu, która zawsze jest ukazywana jako wielkie osiągnięcie powojennej Polski. Owszem, uczono ludzi czytać i pisać, ale uczono ich – dopowiedzmy – posługując się określonymi książkami. W niebyt odchodziła praktycznie cała emigracyjna literatura polska, podobnie jak wiele tekstów napisanych w kraju. Z księgarń zniknęły całe nakłady; z bibliotek metodycznie wycofywano i przeznaczano na przymiał te nieliczne książki wydane przed 1939 r., które niejednokrotnie cudem ocalały w czasie wojny. Do 1948 r. funkcjonowały prywatne wydawnictwa, prywatne firmy płytowe, prywatne księgarnie. Mimo że od samego początku Polski Ludowej funkcjonowała cenzura, w latach 1945–1947 rynek wydawniczy był zróżnicowany. Poczwszy od 1948 r., nie było już mowy o żadnych odcieniach czy kolorach. Skończyły się wszystkie wcześniejsze dysputy ideologiczne, w tym słynny spór, który toczył się w Krakowie między katolikami a marksistami – spór między redakcją „Tygodnika Powszechnego” a środowiskiem „Kuźnicy”.

R.T. – Do 1947 r. była jeszcze rywalizacja z PSL, które co prawda nie miało pieniędzy i zorganizowanych elit, było natomiast partią oporu narodowego. Zaraz po wojnie rozkwitła spontaniczna działalność kulturalna pod patronatem PSL. Szczególnie było to widać na prowincji: uni-

wersytety ludowe, zespoły, wystawy, teatry amatorskie, chóry, dziesiątki rozmaitych inicjatyw kulturalnych. To wszystko skończyło się w 1948 r. Kultura została upaństwowiona, nie było już mowy o prywatnych, samorządowych czy społecznych przedsięwzięciach.

J.E. – Po 1948 r. Polskę zalała fala bezwartościowego „śmiecia” w postaci sowieckiej literatury socrealistycznej. Usiłowano przekonywać, że nasz sąsiad ma ogromne dokonania w tej dziedzinie, przy czym nie chodziło tu o wielką klasykę rosyjską (Puszkina, Czechowa, Dostojewski, Tołstoj itd.), ale o tandetną tak zwaną literaturę zaangażowaną. Drukowano ją w wielkich nakładach i nikt nie śmiał tych dzieł krytykować.

B.P. – Skąd pochodzi pojęcie „socrealizm” i jaka jest jego historia?

J.E. – W krajach totalitarnych zawsze twórcami wszelkich wielkich idei i dokonań są dyktatorzy. Zasługę twórcy należy zatem przypisać Józefowi Stalinowi. Jego „piękną ideę” wdrażał i propagował Andriej Żdanow. To on był głównym orędownikiem angażowania się twórców w dzieło realizmu socjalistycznego. Dlatego po 1956 r. bardzo chętnie mówiono o błędach żdanowszczyzny. I tak jak Ławrientij Beria miał być odpowiedzialny za niemal wszystkie zbrodnie stalinowskiego aparatu bezpieczeństwa, tak Żdanow – choć przecież zmarł w 1948 r. – był tym, na którego bardzo chętnie zrzucano całą odpowiedzialność za wszystko to, co działo się w tamtych latach w nauce i kulturze. Nie możemy jednak zapominać, że w Polsce na przełomie lat 1948–1949 pojawili się nasi rodzimi ideolodzy socrealizmu. Najprościej byłoby wskazać Włodzimierza Sokorskiego, który był ministrem kultury i sztuki w tym najgorszym okresie. Należy tu jeszcze przywołać i Leona Kruczkowskiego, i Jerzego Putramenta, i Adama Schaffa, i Stefana Żółkiewskiego, a także wielu pisarzy, którzy później zerwali z komunizmem, wystąpili lub zostali wyrzuceni z PZPR i w następnych latach współpracowali z opozycją: Jerzego Andrzejewskiego, Kazimierza i Mariana Brandysów, Tadeusza Konwickiego, Igora Newerlego, Juliana Strykowski, Adama Ważyka czy Wiktora Woroszyńskiego. To jest bardzo długa lista. W przypadku Polski na pewno łatwiej jest wymieniać tych, którzy na tę drogę nie wkroczyli. Zwykle przy takich okazjach wspomina się Zbigniewa Herberta, Leopolda Tyrmanda, Jerzego Zawieyskiego, którzy znaleźli się na marginesie życia umysłowego, i prawdę powiedziawszy, niewielu więcej. Nawet Stanisław Lem – do czego po latach samokrytycznie się przyznawał – w książce *Mgławica Andromedy* poczynił bardzo wiele ustępstw na rzecz Wielkiego Brata – wychwalając sowiecką naukę i technikę.

B.P. – Tworzenie listy ludzi przyzwoitych i nieprzyzwoitych nie jest naszym celem, ale warto mieć świadomość motywów i mechanizmów ustępstw twórców wobec władzy.



J.E. – Moim zdaniem największym nadużyciem, które popełniano w Polsce w następnych latach, było nazywanie stalinowcami tych, którzy rozstali się z partią i z komunizmem, a potem związali się z opozycją i „Solidarnością”. Jednocześnie z pola widzenia niknęli Bohdan Czeszko, Roman Bratny, Jerzy Putrament i cała masa pisarzy, którzy byli stalinowcami, pozostali z partią i w partii i byli do końca z tą formacją bardzo mocno związani. Tymczasem i dziś jeszcze wypomina się partyjną przeszłość i grzechy młodości Woroszylskiemu, Konwickiemu, Jackowi Bocheńskiemu i innym.

B.P. – W jakimś sensie podzielam taką potrzebę, zwłaszcza w przypadku twórców, którymi w tamtym okresie władza się podpierała, a którzy potem niejednokrotnie kreowali się sami lub których kreowano na autorytety moralne. W pewnym momencie nie stanęli oni twarzą w twarz ze swoimi czytelnikami, jak zrobił to na przykład właśnie Wiktor Woroszyński, by powiedzieć: tak byłem w tym, byłem winny, ale teraz jestem z wami, zrozumcie mnie. Grzebanie w brudach, chcemy tego czy nie, leży w ludzkiej naturze; jeżeli samemu się ich nie wypierze, to takie są właśnie efekty.

R.T. – I jeszcze jedno. Należy pamiętać o tych wszystkich, którzy nowej rzeczywistości nie zaakceptowali. Żeby przeżyć stalinizm i socrealizm w życiu publicznym, trzeba było z nim współpracować, w ciągu tych siedmiu czy ośmiu lat nie dało się inaczej. Ale byli przecież tacy, którzy zamilkli – w muzyce, teatrze, literaturze, w malarstwie. Zniknęli. Dziesięć lat w życiu czterdziestolatka to jest dużo – jeśli ktoś zajął się leśnictwem, konserwacją mebli czy księgowością w biurze – to nawet gdy udało mu się znów pojawić po 1956 r., i tak zmarnował najlepsze lata. My dziś potrafimy wymienić tych, którzy zachowali się niezłomie, którzy wytrzymali tę presję, ale powinniśmy pamiętać też o tych, których niezłomność poszła jeszcze dalej – zamilkli, bo nie podjęli nawet próby kompromisu. Jak się to wówczas mówiło: wybrali wewnętrzną emigrację.

B.P. – Myślę, że to jest wielki dramat twórcy. I myślę również, że ten dramat został pogłębiony przez to, co nazywa się polityką kulturalną. Potencjał twórczy można realizować, również będąc księgowym. PRL zrobił z twórczością coś takiego, co jest dla mnie rzeczą zatrważającą – wyniósł ją do rangi zawodu. Stworzył na przykład związki twórcze, których masowość jest co najmniej zastanawiająca. Nie znam żadnej innej rzeczywistości, poza rzeczywistością państw komunistycznych, w której tak zwanych twórców były tak ogromne rzesze. Wśród nich, posiadających legitymacje twórcy, było przynajmniej 80 proc. – najlapidarniej mówiąc – miernot. Ranga twórcy i apanaże, jakie z tym się wiązały, spowodowały, że ci, którzy byli poza nimi, rzeczywiście nigdy już nie mogli się przebić.

R.T. – Poza tym znaleźli się w pułapce. Romantycy, gdy po Powstaniu Listopadowym nie mogli pisać w kraju, wyjechali na emigrację. W PRL granice zatrzasnęły się na dziesięć lat, a przez następną dekadę uchylały się tylko dla starannie wybranych.

J.E. – Określenie „zatrzasnęły się” jest bardzo ważne i – moim zdaniem – doskonale oddaje istotę sprawy. Pamiętajmy, że Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń, Marian Hemar wyjechali i tworzyli bez cenzury na obczyźnie, byli emigracją jeszcze wojenną. Oni – podobnie jak na przykład Jerzy Giedroyc i ludzie z kręgu „Kultury” – pozostali po wojnie za granicą. Można było jeszcze – mniej czy bardziej legalnie – wyjechać z Polski, powiedzmy do 1947 r., ale od pewnego momentu takiej możliwości już nie było. Wtedy właśnie – jak to trafnie ujął Ryszard Terlecki – „drzwi się zatrzasnęły”. Oczywiście można było pisać „do szuflady”, ale po pierwsze, w państwach dyktatorskich – jak to obrazowo określił Paweł Jasienica – nikt nie mógł być „panem swojej szuflady” i dlatego jakże często pojawiała się autocenzura, a po drugie – wiemy to dzisiaj – wówczas dość powszechnie uważano, iż ta nowa sytuacja będzie trwała wiecznie. Żeby zaś zostać wielkim poetą czy pisarzem, naprawdę nie wystarczyło pisać „do szuflady”, trzeba było przede wszystkim wydawać swoje utwory, mieć czytelników i pozostawać z nimi w żywym kontakcie, cieszyć się uznaniem krytyki, wreszcie otrzymywać prestiżowe nagrody.

Co zatem wydawano i czytano w PRL? Przede wszystkim oba te pojęcia należy wyraźnie rozróżnić. Przecież nie wszystko, co oficjalnie wydawano, było powszechnie czytane (wystarczy przypomnieć tak zwaną literaturę społeczno-polityczną), a z drugiej strony stosunkowo często czytano to, co publikowano w sztucznie ograniczanych nakładach (na przykład literatura sensacyjna, romanse, kryminały, ale też współczesna poezja, literatura iberoamerykańska, niektóre opracowania z zakresu historii najnowszej, memuarystyka itd.). Żeby lepiej zilustrować tę dziwną sytuację, przypomnę pewien znamieny żart sprzed lat. W księgarni pod sufit wypełnionej książkami rozgląda się z zainteresowaniem facet, który w pewnej chwili z zakłopotaniem pyta sprzedawcę: „A może ma pan coś do poczytania?”. Trzeba bowiem przypomnieć, że w odróżnieniu na przykład od sklepów mięsnych, w których nierzadko były tylko przystawki nagie haki, w księgarniach zawsze było pełno książek. Rzecz w tym, że zwykle nie tych, które ludzie chcieli czytać. Powstała wtedy bowiem masa złych literacko i/lub nieuczciwych intelektualnie książek. Brakowało tych, których w peerelowskich księgarniach po prostu być nie mogło. Mam na myśli dzieła, które napisali George Orwell, Arthur Koestler czy Aleksander Solżenicyn, literaturę fagrową, napisane na zachodzie książki dotyczące najnowszej historii Polski itd.

W czasach Polski Ludowej żartowano gorzko, że aby zostać członkiem Związku Literatów Polskich, trzeba było wydać dwie książki albo... dwóch kolegów. Ten ponury żart nie wziął się przecież z niczego. Mieliśmy wówczas pisarzy, których dorobek artystyczny był w praktyce żaden, a którzy byli

doskonale notowani na salonach ówczesnej władzy. Pojęcie grafomanii – w odniesieniu do takich ludzi jak Władysław Machejek, Józef Ozga-Michalski czy Mieczysław Róg-Świostek – jest jak najbardziej na miejscu. A przecież ich książki były wydawane w dużych nakładach, były nagradzane i pokazywane jako „osiągnięcia naszej socjalistycznej kultury”.

R.T. – Było jeszcze jedno zjawisko, bardzo ciekawe, które wymuszało na władzy dokooptowanie rozmaitych miernot do grona literatów. Już w połowie lat pięćdziesiątych, a z pewnością w latach sześćdziesiątych, Związek Literatów Polskich stał się, można bez przesady tak powiedzieć, namiastką parlamentu. Zjazdy, wybory do władz ZLP, zebrania organizacji lokalnych – wzbudzały zainteresowanie społeczeństwa, były komentowane, omawiane. Plotki na ich temat krążyły w życiu publicznym, swoim rozgłosem znacznie przerastając rangę wydarzeń. W czasach, gdy nie było parlamentu, nie było normalnego sejmiku, a wybory odbywały się na niby – środowisko literackie zdołało stworzyć substytut demokracji. Ekscytowano się, i to wcale nie tylko w gronie pisarzy, tym, kto został, a kto nie został delegatem na zjazd, kogo wybrano do zarządu, kogo z „czerwonych” wycięto podczas wyborów.

B.P. – Gdybyśmy zatrzymali się tylko na twórcach słowa, to sprawa jest dość prosta. Taka twórczość wymaga wydawania, nakładów itd. Podobnie ze sztuką filmową, której autorzy nie mogli sobie pozwolić na eksperymenty artystyczne z powodu zależności od mecenatu państwowego, ale są obszary twórczości, którym rygory soc-realizmu trudniej było narzucić. Myślę o sztukach plastycznych, muzyce. W PRL środowiska plastyków miały się po prostu świetnie. Przynależność do związku twórczego dawała możliwość zdobywania farb i innych materiałów. Oczywiście wymóg socrealizmu odbił się jakimś piętnem na salach wystawowych, ale ludzie malowali też inaczej, a dorobek trzymali w domu.

R.T. – Muzyka też się nie obroniła. Ulubioną przez wszystkie totalitaryzmy formą pacyfikowania kultury była „pieśń masowa”, często w rytmie marsza, najpierw upajająca tłumy rewolucyjnym entuzjazmem, nieco później zagrzewająca do niewolniczej pracy. Pieśń masową jako zadanie dla twórcy wynaleźli bolszewicy, udoskonalili hitlerowcy, upowszechnili stalinowcy. W Polsce po 1956 r. śpiewano ją na pochodach i akademiach, ale ponieważ Gomułka gustował w „zespołach pieśni i tańca” w rodzaju „Mazowsza” i „Śląska”, stopniowo zniknęła z repertuaru radia i telewizji. Za Gierka unikano przypominania czasów Gomułki, w zamian próbowano wywołać nostalgię za latami Bieruta, a stalinowską pieśń masową chętnie wykonywano w nowych aranżacjach. Jaruzelski, który wielu osobom nasuwał skojarzenia z Pinochetem, przywrócił nie tylko obozy odosobnienia, ale także marsze w telewizji. Mnie – pozwolę sobie na osobiste wspomnienie – pieśń masowa kojarzyła się jednoznacznie: w grudniu 1970 r.



na Montelupich budzono więźniów więzanką takich pieśni, nadawanych z głośnika umieszczonego nad drzwiami celi.

J.E. – W 1950 r. w konkursie na pomnik Feliksa Dzierżyńskiego, zniszczony jesienią 1989 r., główną nagrodą miał być zachodni sportowy samochód (choć ostatecznie skończyło się „tylko” na škodzie). Porównując do dzisiejszych standardów to tak, jakby nagradzać zwycięzcę – czy ja wiem – helikopterem? Inny przykład: Leopold Staff na urodziny dostał od premiera Józefa Cyrankiewicza w pełni umeblowane mieszkanie w Alei Róż. A mówimy przecież o zrujnowanej Warszawie z początku lat pięćdziesiątych, kiedy po kilka rodzin mieszkało w jednym mieszkaniu. Takich przykładów można by podać więcej. Mówi się, że jest to wulgaryzowanie problemu, sprowadzanie wszystkiego do pieniędzy – były przecież jakieś ideały, zapaf i fascynacja nowym itd. Nie neguję tego, choć oczywiście trudno ustalić, która z tych rzeczy u kogo przeważała. Czy jest zresztą coś piękniejszego dla twórcy niż robić to, co się lubi i uważa za ważne i potrzebne, a jeszcze dodatkowo dostawać za to imponujące honoraria?

Badacz tej epoki Dariusz Jarosz odszukał dokument z 1959 r. zawierający uwagi kierownika Wydziału Propagandy KC PZPR Andrzeja Werblana dotyczące zarobków literatów za 1958 r. Zirytowany utyskiwaniami pisarzy na to, że ciągle źle im się powodzi, na podstawie ustaleń Najwyższej Izby Kontroli zestawiał wykaz rocznych i miesięcznych zarobków niektórych twórców, przy czym w wyliczeniach tych nie uwzględnił dochodów z tytułu honorariów za artykuły prasowe oraz ze „stałych zajęć poza dziedziną sztuki” (na przykład pracy na uczelniach). A zatem w przypadku wielu literatów rzeczywiste dochody były jeszcze wyższe. Jest to wręcz szokujący dokument. Okazuje się bowiem, że w czasie, kiedy średnia miesięczna płaca w przemyśle wynosiła około 1700 złotych, na przykład Jarosław Iwaszkiewicz zarabiał ponad 35 tys. miesięcznie, Janusz Messner i Jerzy Jurandot po ponad 25 tys., a Roman Bratny – prawie 13 tys. złotych. Jeszcze wyższe dochody osiągnęli spadkobiercy Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego – ponad 20 tys., Tadeusza Boya-Żeleńskiego – blisko 33 tys. oraz Juliana Tuwima – ponad 53 tys. Myślę, że te kwoty z powodzeniem można w skali jeden do jednego porównywać z dzisiejszą wartością złotówki. Aspekt materialny z pewnością więc też był ważny. Ale był jeszcze trzeci czynnik.

Myślę tutaj o strachu czy może raczej o strachach. A zatem lęk przed milczeniem: jeżeli nie będę pisał i moje teksty nie będą drukowane, nie będę miał szansy literacko zaistnieć i znajdę się w historycznym niebycie. Były oczywiście i inne strachy, że trzeba pisać tak, żeby to było cenzuralne, strach przed utratą tej dobrej sytuacji materialnej. Jak mnie wyrzucą ze związku, to skończą się wczasy w Oborach, wyjazdy, sympozja, konferencje, stypendia zagraniczne. Kto w Polsce w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych mógł sobie na to pozwolić? A kto chciał sobie na to pozwolić? Wreszcie ten strach może najbardziej dotkliwy, do którego

ludzie najmniej chętnie się przyznają – strach przed bólem, przed więzieniem, przed fizycznym unicestwieniem. Mamy przykłady pisarzy (Paweł Jasienica), o których nie można powiedzieć, że zostali zamordowani, ale wokół których stworzono tak obrzydliwy klimat insynuacji i pomówień, że przyczynił się on do ich przedwczesnej śmierci. Każdemu człowiekowi trudno żyłoby się w klimacie donosicielstwa, inwigilacji, szkalowania w mediach. Artystom, z racji ich wrażliwości, bronić się przed tym wszystkim było zapewne jeszcze trudniej. Wszystko to można też odnieść do innej ofiary Marca 1968: Jerzego Zawieyskiego, choć w tym przypadku nie możemy wykluczyć, że pisarz został zamordowany. Władza komunistyczna potrafiła bowiem obsypywać twórców dobrami i zaszczytami, jak może żadna inna. Wszelako potrafiła też ich tak skrzywdzić i niszczyć, jak żadna inna.

B.P. – Kraków jest szczególnym miastem (choć myślę, że wśród mniejszych miast prowincjonalnych można by znaleźć podobne), gdzie zniszczenia wojenne były nikłe, a wojna nie odmieniła istotnie wizerunku społecznego. Czy można powiedzieć, że powojenna kultura rozwijała się inaczej, niż to wynika z obrazu ogólnego? Na razie jeszcze mówimy o tym najgorszym okresie, o stalinizmie. Czy bycie artystą w Krakowie w jakikolwiek sposób różniło się od bycia nim w Warszawie?

R.T. – Przede wszystkim twórcy w Krakowie mieli mniejsze możliwości współpracy z władzą. Poza tym trzeba pamiętać, że na życie kulturalne Krakowa ogromny wpływ wywarli warszawiacy, w tym twórcy i inteligencja, którzy przyjechali po Powstaniu Warszawskim i zostali przynajmniej na parę lat. Na pewno w Krakowie wszystkiego było mniej niż w Warszawie – możliwości, apanaży, posad. Równocześnie było nieco więcej spokoju. Kraków nie miał takich doświadczeń, jak Powstanie Warszawskie, których władza nie lubiła, a o których pamięć stanowiła dla niej wciąż aktualne zobowiązanie.

B.P. – Myślę o czymś innym, co może niełatwo opisać. Społeczeństwo Warszawy ocierało się o zgrozę i ohydę zniszczeń wojennych. Obcowano się na co dzień z czymś, co nie tylko jest ruiną, jest śladem po tym, co zostało bezwzględnie zniszczone. Wyobrażam sobie, że w mieście, które ocaliło swoje zabytki, instytucje, świątynie, od setek lat wyznaczające rytm polskiej kultury, były w społeczeństwie inne nastroje.

R.T. – Pewnie tak, chociaż i przed Krakowem stanęło niezwykle wyzwanie, gdy wymyślono, że będzie on małym, starym miasteczkiem, przy którym wyrośnie Nowa Huta, wielka i nowoczesna aglomeracja.

J.E. – Zadałbym jeszcze dalsze pytanie. Czy to, że w niektórych domach na ścianach nadal wisiały mniej lub bardziej cenne płótna, przynajmniej w jakimś stopniu nie chroniło przed nowym, które mógł symbolizować obraz



„podaj cegłę”? W Warszawie rzeczywiście panowała ohyda ruin, a w Krakowie była porcelana, książki, obrazy, dywany. Takie piękno codziennego dnia.

B.P. – A w Warszawie jedyne obrazy wisiały w urzędach publicznych, przedstawiały facetów z czerwonymi sztandarami, w sportowych gatkach i podkoszulkach. Czy można jakoś podsumować zniszczenia, które w polskiej kulturze zostały po okresie stalinowskim?

J.E. – Wbrew pozorom nie zniszczono tak wiele. W Warszawie powstał Pałac Kultury i Nauki, MDM, Muranów i kilka nowych dzielnic na obrzeżach. Ale w tym samym czasie założono całe nowe miasta: Tychy czy Nową Hutę. Poza architekturą, która z natury rzeczy jest trwała, jestem zdania, że socrealizm – jeśli chodzi o estetykę – nie zniszczył aż tak wiele. Bardzo szybko okazało się, że malarze potrafią malować nie tylko sportowców i robotników. Że pisarze potrafią pisać nie tylko o wydobywaniu węgla i przodujących brygadach robotniczych. Że filmowcy potrafią mówić mimo cenzury i wszystkich ograniczeń o sprawach naprawdę ważnych, dotyczących historii narodu i społeczeństwa, a nie tylko o wydumanych problemach w tak zwanych produkcyniakach. Myślę, że w sferze mentalności te zmiany nie okazały się na szczęście zbyt trwałe i głębokie. Pozostały natomiast ślady: książki w bibliotekach, do których można sięgnąć po zapis tamtych lat, pozostały obrazy i rzeźby, które – jak widzieliśmy w filmie Andrzeja Wajdy – leżą gdzieś w muzealnych magazynach i tylko okazjonalnie są eksponowane. Socrealizm tym się charakteryzował, że nie zakorzenił się zbyt głęboko, ale był za to powszechny.

B.P. – Ja jednak myślę, że tych pozostałości jest więcej. Proszę nie zapominać, że odbiorcami kultury są ludzie w różnym wieku i rodowodzie. Powojenne pokolenie było wychowywane w estetyce socrealizmu, atakującej wzrok i słuch. Stąd bierze się najpierw moda na estetykę meblościanki, a następnie gładkie tyknięcie kultury masowej.

R.T. – Dotąd mówiliśmy głównie o kulturze elity, ale jest też oczywiście kultura mas, które nie czytają książek albo czytają ich bardzo niewiele, raczej czytają prasę. Prasa była najstarszym ogniwem w tej mozaice masowych działań kulturalnych, które tworzył PRL. Polska powojenna była na szarym końcu w Europie pod względem liczby tytułów prasy. W PRL wychodziło mniej gazet niż w Rumunii. Jeżeli mówimy, że w 1956 r. coś się radykalnie zmieniło, to mówimy o kulturze elit. Następna dekada czy następne piętnaście lat tak daleko nie odbiegły od tego, co było w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych.

A równocześnie stało się coś strasznego w kulturze polskiej po 1956 r. i w latach sześćdziesiątych. Większość społeczeństwa zdecydowanie odwróciła się od przeszłości. Pojawiła się zaszczepiona przez komunistów pogarda dla tego, co było pamiątką po minionych pokoleniach, co na-

leżało do historii narodu. Ludzie bez żadnej refleksji, bez żadnego żalu rozstali się z dorobkiem pokoleń, na przykład z meblami...

B.P. – ...które po prostu wyrzucano na śmietnik.

R.T. – Wtedy w nielicznych antykwariatach można było za grosze kupić stare książki, stare pocztówki, monety, broń. To wszystko traktowano jak niepotrzebne śmieci.

Jednak w historii PRL dwukrotnie doszło do rewolucji kulturalnej, niezależnej od systemu, od reżimu, Sowietów. To były rewolucje cywilizacyjne. Najpierw, na początku lat sześćdziesiątych telewizja stała się nośnikiem kultury. Nie książka, nie gazeta, nie radio, nie teatr ani kino, lecz telewizja. To był moment przełomu. Nie wiem, czy byłby możliwy socrealizm w telewizji, szczególnie na początku, gdy władza jeszcze nie umiała zagospodarować tego nowego medium. W końcu lat siedemdziesiątych oglądałem telewizję na Kubie. Pokazywano bieżące wiadomości i programy polityczno-publicystyczne, a ponadto głównie przedwojenne amerykańskie filmy, czasem nawet nieme, którymi zapełniano kilka godzin programu. Filmy socrealistyczne, produkowane w państwach komunistycznych, były czymś bardzo rzadkim, a sowieckich produkcji nie nadawano, bo poza Sowietami nikt na świecie nie był w stanie tego oglądać.

J.E. – Władze komunistyczne dość długo nie doceniały propagandowych możliwości telewizji. Na pewno nie doceniał ich Władysław Gomułka i może właśnie dlatego lata sześćdziesiąte to były złote lata Teatru Telewizji, Kabaretu Starszych Panów, wielu znakomitych programów satyrycznych, Jana Kociniaka i Jana Kobuszewskiego czy Jacka Fedorowicza i Bogumiła Kobieli. Zapomina się też często o telewizyjnym uniwersytecie dla nauczycieli i o tym, że w telewizji odbywały się pasjonujące dyskusje na wiele ważnych tematów. A wszystko to działo się w okresie funkcjonowania cenzury i dyrektyw płynących z Biura Prasy KC! Gwoli prawdy trzeba tu przypomnieć, że w znacznym stopniu działo się tak za sprawą tego samego Włodzimierza Sokorskiego, który w okresie stalinowskim jako minister kultury i sztuki doglądał dzieł socrealistycznych, a w latach 1956–1972 był liberalnym – jak na standardy realnego socjalizmu – prezesem Komitetu do spraw Radia i Telewizji. W latach sześćdziesiątych telewizja była naprawdę dobrej jakości, również pod względem zagranicznych zakupów. Co prawda filmów zachodnich nabywano niewiele, ale kupowano zwykle rzeczy najlepsze.

Podobnie było z zakupami filmów do kin. Oczywiście nie wszystko z amerykańskiej produkcji filmowej można było pokazać w PRL z powodów cenzuralnych (politycznych!), były też niekiedy obrazy po prostu zbyt drogie, jak na standardy gomułkowskiego „siermiężnego socjalizmu”, ale dwadzieścia amerykańskich filmów pokazywanych w Polsce w skali roku było zwykle najciekawszymi dokonaniem tamtejszej kinematografii. Może



brzmi to trochę jak pochwała polityki kulturalnej epoki Gomułki, ale – pamiętajmy – za Gierka zaczęła się już komercjalizacja telewizji i repertuaru kinowego. W tym czasie klasa zachodnich filmów sprowadzanych do Polski znacznie się pogorszyła. I mimo że trudno mi to powiedzieć, to pod tym względem okres Gomułki był najlepszy. Chociaż Gomułka był dogmatykiem i doktrynerem, choć zwalczał intelektualistów, to aż do czasu powstania drugiego obiegu właśnie w latach sześćdziesiątych kultura miała się w Polsce relatywnie najlepiej. Nie było już tego okropnego gorsetu socrealizmu, ale też nie było jeszcze tego propagandowego skretynienia lat siedemdziesiątych.

R.T. – A jednocześnie nastąpił gigantyczny przyrost oglądalności telewizji. W 1960 r. było 400 tys. odbiorników, a po dziesięciu latach już dziesięciokrotnie więcej. Początkowo chodziło się do sąsiadów, a na wsi do klubokawiarni, jednak na początku lat siedemdziesiątych telewizja stała się ogólnodostępna. Wtedy właśnie dostrzeżono jej znaczenie propagandowe. Reżim zrozumiał, że tak powszechne medium trzeba jakoś wykorzystać.

B.P. – **Ja z pewnym uporem powrócę do społecznej roli kultury. Naturalnie, twórcy należą do elity, ale zadaniem twórców, i nie jest to wymysł państwa socjalistycznego i komunistów, jest rola koryfeusza. Zarzuca się Polakom (a jest to zarzut, by tak powiedzieć, wewnętrzny i zewnętrzny), że jesteśmy narodem niekulturalnym, narodem, który ma małą wiedzę o kulturze światowej i jest mało nią przesiąknięty, również nie szanującym swojej własnej spuścizny kulturalnej.**

R.T. – Skąd się nauczyć zachowania przy stole, gdy w stołówce pracowniczej czy w barze mlecznym trzeba jeść aluminiową łyżką?

B.P. – **Cóż z tego, że filmowano *Lalkę*, czy *Pana Wołodyjowskiego*, skoro w szkole przekonywano, że tamte czasy i tamci ludzie byli po prostu beznadziejni. Nie wiadomo, po co Polacy walczyli, o co walczyli, a dopiero socjalistyczne czasy są wypełnione treścią i formą. Kultura obyczaju, dobre wychowanie były ośmieszane, a w najlepszym razie egzotyczne.**

J.E. – Ma pani rację mówiąc, że to, co się nazywa kulturą użytkową, kulturą społeczną, powszechną, zostało straszliwie zrujnowane.

R.T. – Dodajmy do tego zniszczenie krajobrazu.

J.E. – Na przykład nie musimy mieć żadnych kompleksów, jeśli chodzi o poziom starych, dobrych polskich uczelni. Niezależnie od ekonomicznej mizerii na pewno w wielu dziedzinach nie ustępują najlepszym uni-

wersytetom na świecie. Ale jeśli zejdziemy na niższy poziom, przestaje być tak dobrze. Pojawia się wówczas statystyka mówiąca o tym, że przeciętny obywatel czyta w Polsce pół książki rocznie. Jednocześnie przypominamy sobie powszechne schamienie i zdziwienie obyczajów, braki w elementarnej kulturze, dziwne gusta, nad którymi boją się socjologowie (na przykład fenomen disco polo albo fascynacje tandetną literaturą czy najgorszym kinem).

R.T. – Są jeszcze dwa obszary przestrzeni kulturowej spustoszone przez komunizm. Mówiliśmy o wystroju wnętrz, o wyglądzie sklepu, mieszkania, biura, jadłodajni. Trzeba pamiętać o tym, jak zniszczona została turystyka. Polacy na dziesięciolecia zostali zamknięci w granicach PRL, a później w granicach obozu komunistycznego. Ksenofobia, strach przed obcym, poczucie skrępowania wobec innej kultury – to jest spuścizna tamtych czasów. Zjawisko kulturowe, które pojawiło się na świecie w latach pięćdziesiątych, a które następnie rozwinęło się na ogromną skalę – podróżowanie, poznawanie świata, zwiedzanie, podziwianie zażytków, galerii, muzeów, krajobrazów, okazów przyrodniczych – było nieznane Polakom. Mogli wprawdzie pojechać do Bułgarii, ale tam była ta sama cywilizacyjna zapaść, tylko w trochę innej oprawie. Skutki tego są do dziś odczuwalne.

Druga dziedzina wielkich zniszczeń w szeroko rozumianej kulturze to sport, który stał się polem ideologicznej rywalizacji między Wschodem a Zachodem. Przynajmniej na Wschodzie przestał być rozrywką, przyjemnością, rodzajem samorealizacji. Sport jako rekreacja został wyeliminowany, ponieważ okazał się politycznie podejrzany, a dyscypliny takie jak tenis, jazda konna czy żeglarstwo uznano za przeżytki kapitalizmu.

B.P. – **W drugiej połowie lat siedemdziesiątych powstaje zorganizowana, co nie znaczy, że uznawana, opozycja polityczna. Towarzyszy temu również ożywienie mikrośrodków opozycyjnych w dziedzinie animowania ruchu o charakterze kulturalnym. To trwa już do końca komunizmu. Ważną rolę mecenasa czy patrona w tej dziedzinie odegrał Kościół, ale nie tylko. W Warszawie taką rolę przyjęło na siebie małżeństwo Walendowskich, organizując w swoim mieszkaniu dyskusje intelektualistów i artystów.**

R.T. – Opozycja lat siedemdziesiątych tworzyła całą bogatą infrastrukturę oporu przeciwko zakłamaną i ocenzurowaną kulturze schyłkowego PRL. Opozycyjne przedsięwzięcia kulturalne i edukacyjne pełniły podwójną funkcję. Po pierwsze, dawały poczucie uczestnictwa tym wszystkim, którym nie starczało determinacji do zaangażowania się w działania ściśle polityczne, którzy nie mieli predyspozycji do pracy w konspiracji (a tego wymagała na przykład podziemna poligrafia), którzy woleli balansować na krawędzi między strefą jeszcze dozwolonej krytyki a już zakazanej





niezgody. Po drugie, stanowiły dla opozycji politycznej naturalne zaplecze, teren poszukiwania i pozyskiwania nowych zwolenników, a także „rozmiękczenia” reżimowych elit. Jednak niezależna kultura tego okresu, mimo jej dynamicznego rozwoju, wciąż była zjawiskiem marginalnym. Natomiast zupełnie inny był jej zasięg w latach osiemdziesiątych, a to za sprawą Kościoła, który opozycyjnym inicjatywom otworzył drzwi świątyni, plebanii, domów katechetycznych, ośrodków duszpasterskich. Niezależna kultura stała się konkurencyjna wobec oficjalnej nie tylko pod względem poziomu, ale i liczby odbiorców.

Opisując dzieje polskiej kultury, zamkniętej w klatce PRL-u, warto pamiętać o zmianach na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Właśnie wówczas muzyka stała się nowym sposobem komunikowania się młodych ludzi. To muzyka otworzyła Polskę na świat, pomimo że granice pozostały zamknięte. Ponieważ ta muzyka, w Polsce początkowo nazywana big-beatem, pochodziła z angielskiego obszaru językowego, nagle nabrała sensu nauka angielskiego, wcześniej całkowicie nieprzydatnego. Pojawił się też po raz pierwszy drugi obieg wydawniczy – były to wydawnictwa fonograficzne, popularne „pocztówki dźwiękowe”, zastępujące prawdziwe płyty i upowszechniające zachodnie nowości muzyki rozrywkowej. Komuniści początkowo nie rozumieli zjawiska buntu pokoleniowego na Zachodzie, sądzili, że będzie on sprzyjać lewicowym partiom i poglądom. Fachowcy od inżynierii dusz usiłowali interpretować młodzieżową kontestację na Zachodzie jako objaw rozczarowania kapitalizmem i parlamentarną demokracją. Dlatego do Polski mogły wówczas przyjechać najbardziej „zbuntowane” zespoły muzyczne, jak The Rolling Stones czy The Animals, dlatego w prasie pojawiły się życzliwe reportaże o amerykańskich hippisach, a telewizja pokazała kilka filmów z udziałem długowłosych muzyków. Reżim zaczął się niepokoić dopiero zachowaniem polskiej młodzieży na koncertach zachodnich (a także rodzimych) zespołów. Podjęto więc próbę zaadaptowania tej muzyki do ideologicznych potrzeb: zespoły rockowe zaczęły eksploatować rodzimy folklor, zespół No To Co przebrał się w stroje z Cepelii, inni stylizowali się na rosyjskich czy ukraińskich wieśniaków. Taka sytuacja bardzo szybko doprowadziła do powstania muzycznego „undergroundu”, przemilczanego przez oficjalną krytykę, ale zwalczanego przez milicję. Rewolucja obyczajowa, którą zapoczątkowała muzyczna rewolta, przyniosła radykalne zmiany w modzie, w zachowaniu, w stylu bycia.

B.P. – Rozpoczyna się zatem pewien proces. Pojawia się wiele zmian, które układają się w kierunkowy wektor. To jednocześnie jest ten czas, kiedy do kraju na znacznie większą skalę zaczynają docierać wydawnictwa paryskiej „Kultury” i innych oficyn wydających w języku polskim na Zachodzie. Nie chcę popadać w przesadę, twierdząc, że Giedroyc trafił pod strzechy. Warto i temu poświęcić trochę czasu, bo to jest wyzwanie dla rodzimych twórców. Tą samą drogą, czyli przez przemysł z Zachodu, zaczyna docierać prasa. System jest bombardowany, drobną być może, ale amunicją z zewnątrz.

R.T. – Trudno jest przecenić wpływ emigracyjnej literatury czy myśli politycznej, ale krąg odbiorców przemycanych wydawnictw – choć opinio-
twórczy – był nadal niesłychanie wąski. Znacznie większy wpływ na zmiany w świadomości społecznej, szczególnie młodzieży, miały płyty przywożone z Zachodu.

J.E. – Do tego Radio Luksemburg i Radio Wolna Europa.

B.P. – **Również to, co dociera do nas ze Wschodu, jest już nieco innej jakości. Nie wiem, jak dalece kulturotwórczy może być balet klasyczny, niemniej sam fakt, że można go oglądać, że zaczynają do nas docierać wielkie produkcje kina sowieckiego, Bułat Okudźawa, Włodzimierz Wysocki. Ci ostatni spowodowali to, że wbrew patriotycznemu obowiązkowi nienauczenia się rosyjskiego, przynajmniej garstka ludzi otworzyła się na ten język jako nośnik pewnej kultury. Przesztano nam pokazywać filmy rewolucyjne typu *Z iskry rozgorzeje płomień*.**

J.E. – Takie fascynacje są charakterystyczne naprawdę dla wąskich elit, podczas gdy przedtem mówiliśmy o kulturze masowej. Ale takie elitarne mody obejmowały również inne dziedziny: chyba nigdzie na świecie nie było takiej fascynacji literaturą iberoamerykańską, jak w Polsce. To jest porównywalne chyba jedynie z kultem Williama Whartona w Polsce w latach dziewięćdziesiątych.

Obserwowane pod koniec lat sześćdziesiątych i w następnej dekadzie zmiany obyczajowe były w znacznym stopniu konsekwencją zmiany generacyjnej. Do końca nie zdajemy sobie bowiem sprawy z tego, jak były one powszechne. Wystarczy przypomnieć, że będące tyleż wyrazem mody, co jednym z przejawów pokoleniowego buntu długie włosy nosili zarówno uczniowie, jak i studenci oraz młodzi robotnicy.

R.T. – Nawet można powiedzieć, że walczyli o prawo do ich noszenia. To był zdecydowanie element buntu.

J.E. – Z czasem pojawiła się też – znów importowana z Zachodu – moda na noszenie brody i wąsów. I także to, choć dzisiaj może brzmieć to niezupełnie poważnie, było formą sprzeciwu. Nie lekceważyłbym jednak tego wszystkiego. W państwie rządzonej po dyktatorsku te odmienności w wyglądzie, sposobie ubierania się, mówienia itd. powoli powodowały wyłom w monolocie, bo przecież wszystko miało być z góry zaprojektowane...

B.P. – **...jak fason mundurków Chińczyków, nie rozróżniający nawet ludzkiej płci.**

J.E. – Indywidualizm nie był pożądaną cechą. Choć z drugiej strony, gdy wszyscy, lub przynajmniej bardzo wielu, chcą wyglądać podobnie, to co to za indywidualizm. Pojawia się coś w rodzaju „indywidualizmu wielu”. Na to nakłada się jeszcze jedna sprawa. Otóż pokolenie dorastające w latach sześćdziesiątych, pierwsze urodzone i wychowane w powojen-



nej Polsce, dzięki sprowadzanym filmom po raz pierwszy choćby bardzo wyrwykowo i powierzchownie poznawało jakieś fragmenty życia w Stanach Zjednoczonych czy Europie Zachodniej. Młodzi Polacy zobaczyli, jak tam żyją i wyglądają ich rówieśnicy.

B.P. – Chcę zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt czy konsekwencje polityki kulturalnej PRL. Do niedawna jeszcze niedawna 50 proc. polskiego społeczeństwa stanowili mieszkańcy wsi. My sobie tutaj rozmawiamy o tym, co się działo w mieście, co natomiast się działo na wsi? Pan zaczął od tego, w 1948 r. zlikwidowano wszelkie przejawy niezależnego życia społecznego na wsi, wynikające z tradycji. Telewizja dotarła na wieś znacznie później niż do miasta i przez długie lata stanowiła jedyną możliwość kontaktu z kulturą. Dzieci wiejskie, gdy przyjeżdżały na wycieczki do miasta, chodziły do ogrodu zoologicznego albo do cyrku. Wieś pod względem życia kulturalnego była absolutnie jałową ziemią. Pomijam tutaj Cepelię czy zespoły folklorystyczne, bo one z kulturą miały tyle wspólnego, co praca Stanisława Tyma jako „kaowca” na statku w filmie „Rejs”.

R.T. – Cepelia to też był ważny produkt systemu, bo kulturę ludową trzeba było odsakralizować, pozbawić wątków patriotycznych, narodowych. Trzeba było wyprodukować sztuczną kulturę ludową, aby zastąpić nią tę prawdziwą, mocno przesiąkniętą wiarą i duchem wolności. A możliwości komunistów były tym większe, w im większym zacywilizacyjnym pograżona była polska wieś. Byłem latem 1969 r. pod Łodzią we wsi, która – *nomen omen* – nazywała się Prawda, a z której trzeba było przejść parę kilometrów do sąsiedniej wsi, żeby w telewizji zobaczyć lądowanie człowieka na Księżycu. Problemem był nie tylko brak odbiornika telewizyjnego – we wsi Prawda nie było elektryczności.

Ale w tym właśnie czasie pojawiło się nowe zjawisko. Otóż Kościół, który też rozwijał i doskonalił rozmaite formy duszpasterstwa, znalazł nowe narzędzia społecznego oddziaływania. Powstały oazy, sakrosong, rozwinął się ruch pielgrzymkowy. Narodził się wielki ruch społeczny wokół Kościoła, który objął także wieś i małe miasteczka.

Minęło kilkanaście lat i znów zdarzyło się coś niezwykłego. Mówiliśmy wcześniej, że pierwsza rewolucja kulturalna nastąpiła wtedy, gdy w Polsce upowszechniła się telewizja. Ale za nią przyszła druga – w połowie lat osiemdziesiątych – z którą nie wiemy, jak by sobie komunizm poradził: powszechny dostęp do ksero, komputerów, skanerów, anten satelitarnych. Wyobraźmy sobie, że w latach KOR-u działałyby na przykład kserografy czy komputery. A przecież w PRL na zamontowanie pierwszych anten satelitarnych trzeba było mieć pozwolenie z bezpieki.

J.E. – Zimna wojna przyspieszyła rozwój środków związanych z przekazywaniem informacji. W latach osiemdziesiątych można było już sobie

wyobrazić, że w chwilę po tym, jak w głównym wydaniu Dziennika Telewizyjnego minister Jerzy Urban będzie mówił o garstce chuliganów w Nowej Hucie czy w Gdańsku, którzy zakłócali porządek publiczny, będzie można w którejś z zagranicznych telewizji zobaczyć wielotysięczne tłumy z biało-czerwonymi flagami i transparentami, obrzucane przez ZOMO granatami łzawiącymi. Jest oczywiste, że z czymś takim komunistom byłoby bardzo trudno sobie poradzić.

R.T. – Już wideo było czymś niezwykłym, bo społeczeństwo zaczęło uniezależniać się od telewizji.

B.P. – **A z podróży na Zachód przywoziło się już nie tylko książki, ale przede wszystkim kasety wideo, które mają tę swoistość, że łatwiej od książek można je kopiować.**

R.T. – Wcześniej pojawiły się magnetofony i możliwość powielania taśm. Może przesadzam, ale kto wie, czy dla obalenia systemu większych zasług od „Biuletynu KOR” nie mieli Zenon Laskowik czy Jan Pietrzak, którzy nauczyli młodzież śmiać się z totalitarnej władzy. Ich piosenek, przegrywanych na taśmach, słuchały setki tysięcy młodych ludzi, podczas gdy początkowo „bibułę” czytała kilkunastotysięczna garstka.

B.P. – **A jak wiadomo, śmiech też może być bronią, co na sam koniec historii PRL bardzo dobrze pokazały działania Pomarańczowej Alternatywy.**



Ryszard Terlecki, ur. w 1949 r., dr hab., historyk i publicysta, uczestnik antykomunistycznej opozycji w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, naczelnik Biura Edukacji Publicznej IPN w Krakowie. Zajmuje się historią najnowszą po 1945 r. oraz historią nauki i oświaty w XIX i XX wieku. Autor między innymi: *Oświata dorosłych i popularyzacja nauki w Galicji w okresie autonomii*, Wrocław 1990; *Dyktatura zdrady. Polska w 1947 r.*, Kraków 1991; *Uniwersytet latający i Towarzystwo Kursów Naukowych w latach 1977–1981*, Kraków–Rzeszów 2000.



Jerzy Eisler, ur. w Warszawie w 1952 r. jest naczelnikiem Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie oraz docentem w Instytucie Historii PAN. W Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego prowadzi seminarium magisterskie i wykłady monograficzne na temat powojennej historii Polski. Jest znawcą najnowszych dziejów Francji (ważniejsze publikacje: *Od monarchizmu do faszyzmu. Koncepcje polityczno-społeczne prawicy francuskiej 1918–1940*, Warszawa 1987; *Kolaboracja we Francji 1940–1944*, Warszawa 1989; *Philippe Pétain*, Wrocław 1991) oraz historii politycznej PRL (*Marzec 1968. Geneza – przebieg – konsekwencje*, Warszawa 1991; *Zarys dziejów politycznych Polski 1944–1989*, Warszawa 1992; *List 34*, Warszawa 1993; *Grudzień 1970. Geneza – przebieg – konsekwencje*, Warszawa 2000).